



tekst
JULIA MARKOWSKA
redaktor wydania

Słyszała pani, że ta spod ósemki to już nie wychodzi z domu? – zagadnęła mnie niedawno 90-letnia sąsiadka. – Pewnie coś się stało, na pewno mąż jej nie wypuszcza. Niech pani naśle tam jakąś policję – radzi mi z powagą starsza pani. Wiem, że jej nie przekonam, iż są ludzie, którzy słuchają lekarzy i nie wychodzą z domu podczas tropikalnych upałów. Uśmiecham się jednak przyjaźnie i pośpiesznie odchodzę. Dopiero w domu przypominam sobie, że spostrzegawcza staruszka siedziała na ławce przed blokiem nawet w największe mrozy. Muszę to przemyśleć.

Biskup Edward nie ukrywał zachwytu. Pierwszy wakacyjny dzień wspólnoty wszystkich oaz, które w tym czasie przeżywały rekolekcje, wypadł rewelacyjnie.

Trzy oazy: z Jarosławca Oaza Dzieci Bożych, z Łącka Oaza Nowego Życia Domowego Kościoła I stopnia oraz z Lipia Oaza Nowego Życia I stopnia przyjechały w miniony piątek do Warcina. Dwie oazy: młodzieży – Oaza Nowego Życia 0 stopnia i rodzin – Oaza Nowego Życia Domowego Kościoła II stopnia przebywały w Warcinie. Gospodarzami tegorocznego dnia wspólnoty była Oaza Nowego Życia Domowego Kościoła II stopnia i Fundacja „Familia” w Warcinie, która znajduje się na terenie parafii Kępice. Opiekunem duchowym fundacji jest proboszcz tamtejszej parafii ks. Jerzy Urbański.

Dzień wspólnoty w Warcinie Rekolekcje oaz



Tradycyjnie podczas dnia wspólnoty każda grupa przedstawia się. Na zdjęciu prezentacja oazy rodzin I stopnia z Łącka

Fundacja od 10 lat prowadzi rekolekcje w różnej formie. – Razem było około 220 osób z całej Polski, w różnym wieku – mówi Anna Borowiec, organizatorka rekolekcji w Warcinie.

W jedności z Duchem Świętym przebiegała prezentacja grup i talentów otrzymanych od Pana. Jak zawsze były świadectwa obecności Boga w życiu i jego przemiany. – To było niesamowite! Godzina świadectw

przerodziła się w spontaniczny dialog – opowiada o. Piotr Włodyga, prowadzący rekolekcje w Lipiu. – Słuchacze włączali się w te świadectwa, sami je dawali – dodaje. Uroczystej Eucharystii przewodniczył ks. bp. Edward Dajczak, który jest zapalonym zwolennikiem wszelkiej ewangelizacji młodzieży i rodzin. Zachęcał do czerpania mocy Ducha Świętego i bycia żywym świadectwem. **im**

Rekolekcyjne czyny społeczne



Piękne kwietniki to także efekt solidnych rekolekcji

Pomimo temperatur, które niszcza nawet termometry, niezmiennie piękne są kwiaty i rośliny znajdujące się wokół Centrum Edukacyjno-Formacyjnego w Koszalinie. Dbą o nie pani Basia, która pracuje w recepcji tej placówki. Z telefonem w kieszeni, by być zawsze dostępną dla wszystkich, którzy szukają jakiegokolwiek informacji, z uśmiechem plewi i podlewa.

– Nie robię nic wyjątkowego, po prostu bardzo to lubię – mówi skromnie kobieta, nie przerywając pracy.

Jak się dowiedzieliśmy, pani Basia ma czasem wielu pomocników. Uczestnicy rekolekcji w CEF biorą do rąk łopatki i haczki. Pracując, zastanawiają się nad tym, co usłyszeli na katechezach. Brawa dla rekolekcyjnych i rekolektantów.

Julia Markowska

MIKOSŁAW LATKOWSKI

18 LIPCA 2010 GOŚĆ NIEDZIELNY

Bezpiecznie na przejeździe

BIAŁOGARD. Już jesienią niestrzeżony do tej pory przejazd na drodze 166 w Białogardzie będzie wyposażony w rogatek. – Po ostatniej katastrofie, do jakiej doszło półtora roku temu, bardzo mocno zabiegaliśmy o budowę rogatek – mówi Krzysztof Bagiński, starosta białogardzki. W wypadku na niestrzeżonym przejeździe zginął wówczas kierowca tira, kilkudziesięciu pasażerów wykołowanego pociągu zostało rannych. – Zdecydowaliśmy, że jako powiat będziemy partycypować w kosztach budowy rogatek – dodaje starosta. Zgodnie z umową podpisaną z PKP Polskie Linie Kolejowe SA, powiat białogardzki przekazał na ten cel 50 tys. zł. W połowie lipca rozstrzygnięty będzie przetarg na realizację tej inwestycji, która kosztować ma około 1,4 mln zł, i już na początku sierpnia rozpoczną się prace budowlane. – Musimy położyć instalację na odcinku około 2,5 km



Józef Matuszczak i Krzysztof Bagiński przypieczętowali umowę o poprawie bezpieczeństwa uściskiem ręki

łączącą przejazd ze stacją kolejową w Białogardzie. Na początku października planujemy na dwa dni zamknąć przejazd, aby wykonać prace bezpośrednio na torach – wyjaśnia Józef Matuszczak, dyrektor Oddziału KPK PLK SA Centrum

Realizacji Inwestycji w Szczecinie. Zakończenie budowy rogatek uzależnione jest od terminu zakończenia remontu wiaduktu w Białogardzie. Zarząd Dróg Wojewódzkich zapewnia, że roboty zakończą się planowo, czyli do końca września.

Bez wykluczenia

SŁUPSKIE. Grupa niepełnosprawnych mieszkańców gminy Smołdzino i Głównyuczce uczestniczy w warsztatach rzemieślniczych. Zajęcia odbywają się w ramach unijnego projektu „I ja mogę wiele dać”, realizowanego przez gminne ośrodki pomocy społecznej. Uczestnicy projektu biorą udział w kursach rzemiosła ludowego, które prowadzone są w trzech miejscach – kurs wikliniarstwa w Środowskim Domu Samopomocy w Rumsku. Projekt, który realizowany będzie do września, służy aktywizacji zawodowej niepełnosprawnych. Zakończy go konferencja podsumowująca w Gminnym Ośrodku Kultury w Głównyuczach.

Na urodziny Faustyny

ZAPROSZENIE. Po raz 10. koszalińsko-kołobrzescy pątnicy wybiorą się do Myśliborza, by tam razem z pielgrzymami z całej archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej świętować 105. urodziny s. Faustyny Kowalskiej – Apostołki Bożego Miłosierdzia. Na 225-kilometrową trasę pielgrzymi wyruszą z Koszalina 16 sierpnia, by po 9 dniach zameldować się u sióstr ze Zgromadzenia Jezusa Miłosiernego. W tym roku pielgrzymi z Koszalina wydłużą swoją wędrówkę o jeden dzień. – Świętowanie urodzin s. Faustyny chcemy poprzedzić nocnym czuwaniem w myśliborskim sanktuarium, a rano powitać pielgrzymów z Gorzowa i ze Szczecina – wyjaśnia ks. Łukasz Gąsiorowski, koordynator pielgrzymki. Zawołaniem, które będzie przyświecać pielgrzymom z całej archidiecezji, jest hasło: „W miłości nie ma lęku”. – Chodzi o to, by przez te kilka dni wędrówki zmieniać swój punkt widzenia, uczyć się otwierać na Boże Miłosierdzie. Bóg kocha wbrew ludzkiej logice i chce nas swoją miłością wciąż obdarowywać na nowo – dodaje ks. Gąsiorowski. Zgłoszenie i informacje o pielgrzymce: tel. 606 605 694, e-mail: luk.gas@gmail.com.

skim sanktuarium, a rano powitać pielgrzymów z Gorzowa i ze Szczecina – wyjaśnia ks. Łukasz Gąsiorowski, koordynator pielgrzymki. Zawołaniem, które będzie przyświecać pielgrzymom z całej archidiecezji, jest hasło: „W miłości nie ma lęku”. – Chodzi o to, by przez te kilka dni wędrówki zmieniać swój punkt widzenia, uczyć się otwierać na Boże Miłosierdzie. Bóg kocha wbrew ludzkiej logice i chce nas swoją miłością wciąż obdarowywać na nowo – dodaje ks. Gąsiorowski. Zgłoszenie i informacje o pielgrzymce: tel. 606 605 694, e-mail: luk.gas@gmail.com.

Bawić się i pomagać

WIERZCHOWO. Mieszkańcy gminy Wierzchowo zbierali pieniądze dla powodzian podczas festynu świętojańskiego. Jego uczestnicy doskonale bawili się przy muzyce Kapeli Wierzchowskiej i Zespołu Sami Swoi. Można było także włączyć się w ogólnopolską akcję pomocy powodzianom. Pieniądze uzyskane z przeprowadzonej w trakcie imprezy loterii fantowej, którą przygotował świerczyński Zespół Szkół, zasilą konto gminy Gąbin. Swoje umiejętności zaprezentował także zespół tańca nowoczesnego Step Up oraz Kornelia Kalinowska, laureatka Wojewódzkiego Konkursu Piosenki Dziecięcej. Dla najmłodszych organizatorzy przygotowali pompowane zjeżdżalnie, zamki, quady, stoiska ze słodyczami i pamiątkami. Dzieci chętnie uczestniczyły w konkursach sportowych. W turnieju tenisa stołowego o puchar wójta gminy Wierzchowo najlepszym okazał się Mariusz Nowak. Podczas zabawy świętojańskiej obowiązkowo trzeba było także poszukać kwiatu paproci. Szczęśliwym znalazcą był mieszkaniec Świerczyny Jakub Nowak. W konkursie na najładniejszy wianek



Roztańczeni mieszkańcy szukali kwiatu paproci

świętojański wygrał Kamil Rębiś. Zabawę przygotowali wójt gminy Wierzchowo, Gminny Ośrodek Kultury, Sportu i Turystyki oraz Rada Sołecka w Świerczyźnie.



W ubiegłym roku na 9-dniową trasę do Myśliborza wyruszyło 70 pielgrzymów z diecezji

Rekolekcje dla Rodzin Szentszackich

Wakacje z Maryją

Wolą Górę Chełmską niż gorące piaski Egiptu i plaże Morza Czerwonego.

Rodziny szentszackie ładowały duchowe akumulatory, by mieć siły na następny rok.

Na te rekolekcje rodzice przyjeżdżają z dziećmi. Gdy starci modlą się lub słuchają konferencji, dzieci bawią się z wolontariuszami.

– Rekolekcyjne warsztaty i katechezy poświęcone są nauce akceptacji siebie i rodziny oraz wewnętrznej przemianie, która dokonuje się w sakramencie pokuty. Uczymy się także mówić o Bogu ludziom, którzy go jeszcze nie spotkali – tłumaczy siostra Eligia Pawlisz ISSM, organizatorka spotkań. I dodaje, że jeden dzień uczestnicy rekolekcji spędzają zawsze na Górze Chełmskiej. Tam rodziny dzielą się swoją wiarą z pielgrzymami, którzy odwiedzają sanktuarium maryjne. – Rodziny przyjeżdżające na rekolekcje żyją we wspólnotach przez cały rok i swoim życiem pokazują, jak ważne jest przymierze miłości – mówi s. Eligia.

Mariusz i Aleksandra Jankowscy należą do ruchu rodzin szentszackich od sześciu lat. Mają

trójkę dzieci i choć od trzech lat mieszkają właściwie osobno, bo Mariusz pracuje w Anglii, to wciąż umacniają swoją rodzinę i są dla siebie podporą. – Znam wielu ludzi, którzy polegli w takich związkach. Nasze małżeństwo umacnia się poprzez kontakt z Bogiem. Właśnie dlatego nie jedziemy na wakacje do ciepłych krajów, tylko od pięciu lat urlop zaczynamy od rekolekcji. Przyjeżdżamy tutaj, by nabrać sił – mówi Mariusz.

– Gdy czujemy nad sobą opiekę Maryi, łatwiej nam odnaleźć w codzienności kompromis. Nie jesteśmy idealni, wszyscy musimy nad sobą pracować, ale dzięki temu jest to praca łatwiejsza, bo nie jest ona walką z wiatrakami. To prawdziwy odpoczynek i wyciszenie, czas na dłuższą i głębszą rozmowę z Panem Bogiem – dopowiada jego żona. Ich zdaniem wspólna formacja w ruchu szentszackim to najlepszy sposób na wychowanie dzieci oraz na ciągłą naukę szacunku i tolerancji dla współmałżonka.

– Zawierzyliśmy Maryi, mamy w domu założone sanktuarium maryjne, zawarliśmy przymierze miłości. Odczuwamy namacalną opiekę Matki Bożej, Ducha Świętego. Staramy się dawać dobre wzorce dzieciom. Myślę, że przyszli małżonkowie naszych dzieci otrzymają wielki skarb: uduchowionych i żyjących według niepodważalnych wartości ludzi – podkreślają Jankowscy.

Ewelina i Norbert Danio przyjechali z czwórką dzieci. Ich sposobem na dobre małżeństwo jest rozmowa, modlitwa i zawierzenie Bogu i Maryi. – W życiu są wzloty i upadki, ale każdą sytuację trzeba na bieżąco omawiać. Jeżeli wступujemy w związek małżeński, musimy sobie zdać sprawę, że bierzemy odpowiedzialność za tę drugą osobę. Od pierwszych dni trzeba budować miłość i szacunek. Współczesny świat to ucieczka przed odpowiedzialnością i miłością, a to jest złe – mówi Ewelina. Jej mąż, po 15 latach małżeństwa, nie może oderwać od niej oczu.



Norbert i Ewelina odnowili przyrzeczenia małżeńskie

– Codziennie widzę w żonie coś nowego i wspaniałego. Każdego dnia przynosi mi ona wiarę we wspaniałe życie. Ja chyba ostatnio przeżywałem jakąś nową miłość, zakochuję się w niej codziennie od nowa. Choć przy czwórce dzieci czasem nie jest łatwo, dzielimy się obowiązkami i wychodzi nam to wspaniale – mówi z dumą Norbert Danio.

W czasie, gdy małżeństwa zastanawiały się nad swoimi relacjami, ich dzieci dobrze się bawiły.

Zajęcia z dziećmi i młodzieżą prowadziły Katarzyna Jazgar oraz Barbara Fursewicz, nauczycielka z trzydziestoletnim stażem.

– Po dzieciach, którymi się opiekowałam, od razu widać, że mają poukładane rodziny. Wiedzą, co to znaczy „nie wolno”, potrafią się sobą opiekować i cieszyć się dosłownie z wszystkiego – mówi pedagog. Dzieciom z rodzin szentszackich najbardziej podobała się zabawa w przypinanie klamerek i przebijanie balonów. To zabawy, które najbardziej przypadły do gustu.

– W ogóle nie było nudno. Najbardziej podobało mi się, gdy dostawałam nagrody – mówi Małgosia.

Julia Markowska



Podczas rekolekcji Julia znalazła nowy sposób na słodzenie herbaty. tyżek cukru zapijała łyżkiem napoju



Podczas maryjnego spotkania nie zabrakło oczywiście Różańca, odmówionego na kamiennych paciorkach okalających Górę Chełmską

Musiałam ratować



SPRAWIEDLIWA WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA Z MIELNA. W czasie okupacji dała w Warszawie schronienie dziesięciorgu prześladowanym Żydom. Za to bohaterstwo państwo izraelskie uhonorowało ją najwyższym medalem.

tekst i zdjęcia

JAROSŁAW JURKIEWICZ

jjurkiewicz@goscniedzielny.pl

Nie robiłam tego dla rozgłosu, ale po to, by pomóc ludziom, którzy giną – tłumaczy mieszkająca dziś w Mielnie 93-letnia Leokadia Choińska.

W stolicy zamieszkała jeszcze w latach 30. XX wieku. Po wybu-

chu II wojny światowej z przerażeniem patrzyła, z jakim okrucieństwem Niemcy traktują Polaków, w jak nieludzki sposób prześladowają Żydów.

Przeżywała to bardzo osobiście, bo sama straciła kilka osób z licznej rodziny. Jeden z braci zginął w Oświęcimiu, drugiego Niemcy rozstrzelali w pobliżu domu rodziców w Kieleckiem. Mąż trafił na Pawiak, umarł dwa dni po

wyjściu na wolność. Została sama z 9-miesięczną córką. – Wszystkie te doświadczenia spowodowały, że niczym obsesja prześladowała mnie myśl, że powinnam pomóc zagrożonym. Myślałam w szczególności o tych, którzy nie mogli wyjść z tego piekła w getcie – wspomina pani Leokadia.

Któregoś dnia do jej mieszkania przyszła młoda Żydówka, Irena Młynarska. – Tłumaczyła, że jest znajomą mojego brata, który działał w konspiracji. Miała dobry wygląd, świetnie mówiła po polsku. Poczulałam do niej ogromną sympatię. Powiedziałam, żeby czuła się jak u siebie w domu. Obiecałam, że jeśli przeżyjemy, zostanie u mnie do końca.

Między gestapo a żandarmerią

Na jakimś spotkaniu w 1942 roku Leokadia poznała pana Feliksa, mieszkańca Częstochowy. Zajmował się ratowaniem Żydów. Opowiedziała mu o swoim pragnieniu pomocy innym. Był zaskoczony, ale kilka dni później przyprowadził żydowską rodzinę: państwa Aleksandrowiczów z dwójką dzieci, Alikiem i Lusią.

– Przed wojną to byli bardzo zamożni ludzie. Mieli pięciopiętrową kamienicę w Łodzi i własne fabryki. Wojna zabrała im wszystko – opowiada pani Leokadia. – Przyjęłam tę rodzinę. Niewielkie mieszkanie na warszawskim Mokotowie – pokój z łazienką, korytarzem i kuchnią – stał się w ten sposób azylem dla siedmiu osób. Żyli z niewielkich oszczędności i pomocy znajomych. Bywało, że czuli głód. Jedli raz dziennie, ale każdy musiał dostać taką samą porcję. – Czasem z sąsiadką, Marysią Majewską, która była aktorką, chodziłyśmy na Pole Mokotowskie kraść ziemniaki i warzywa. Była dyskretna, o nic nie dopytywała.

Ale wciąż trzeba było być na baczności przed innymi obcymi. – Za podanie ręki Żydowi groziła kara śmierci, coż dopiero mówić o ukrywaniu Żydów! – tłumaczy pani Leokadia.

– Zanim wpuściliśmy inkasenta z elektrowni, drzwi do pokoju musiały być zamknięte. To była żelazna zasada. I choć dom stał między siedzibą żandarmerii a gestapo przy Rakowieckiej, Niemcom chyba nie przyszło do głowy, że pod nosem mają taką kryjówkę! – opowiada pani Leokadia.

Nikt nie może zobaczyć Janeczki

Gdzieś pod koniec 1942 roku zjawił się pan Feliks i spytał, czy pani Leokadia przyjmie jeszcze kilku Żydów. Bała się, że nie pomieszczą się w niewielkim mieszkaniu. Uzgodnili więc, że Irena zostanie, ale rodzina Aleksandrowiczów trafi do innego mieszkania. – A do mnie przyszły dwa małżeństwa i Janeczka, dziewczyna o wybitnie semickim wyglądzie, której rodzice zginęli w getcie.

Z Janeczką wiązał się groźny incydent. Któregoś dnia właścicielka mieszkania wyszła do sklepu. Domownicy zapomnieli zamknąć drzwi wejściowe. Niespodziewanie zjawiła się żona dozorczy, który był volksdeutschem. Zobaczyła Janeczkę. – Kiedy wróciłam, byli bardzo wystraszeni. Mówili, że wszyscy zginęmy – wspomina pani Leokadia.

Dziewczynę trzeba było natychmiast gdzieś ukryć. – Wiedziałam, że przy placu Zbawiciela mieszka mieszane, polsko-żydowskie małżeństwo. Zaprowadziłyśmy do nich Janeczkę. Tamta kobieta rozmawiała z nami przez uchylone drzwi, zamknięte na łańcuch. Powiedziała, że nie mogą już nikogo przyjąć.

Następnego dnia wieczorem pan Feliks zabrał Janeczkę w inne, bezpieczne miejsce.

Żyjesz i to jest najważniejsze!

Dramatyczne wydarzenie wiązało się też z Ireną. – Stale ubolewała, że są dla mnie obciążeniem. Wciąż pytała, co może zrobić, żeby mi pomóc. Tłumaczyłam, że nie oczekuję żadnej wdzięczności. Jeśli jednak chce, może pojechać pod Warszawę, kupić trochę żywno-

Ć ludzi

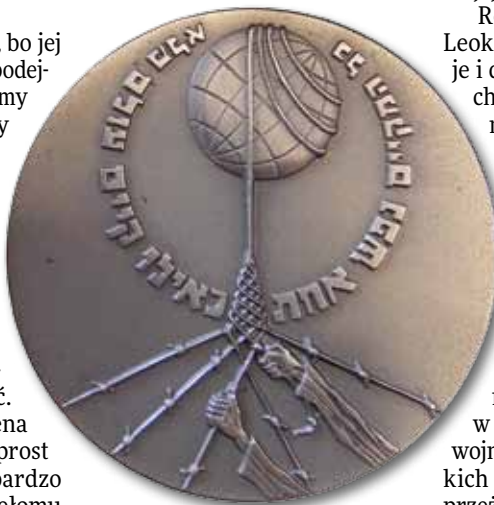
ści. Wysłałam ją bez obaw, bo jej wygląd nie budził żadnych podejrzeń. Bez strachu chodziliśmy przecież razem na spacer i do kina.

Irena wyjechała pociągiem, kupiła, co trzeba. I kiedy wracała, pod Koluškami zobaczył ją znajomy Polak, który wiedział, że jest Żydówką. Wezwał Niemców. Ci zamknęli ją w wagonie, zabrali dokumenty i kupioną żywność.

– Kiedy pociąg ruszył, Irena wyskoczyła przez okno wprost w zaspę śnieżną. To była bardzo ostra i śnieżna zima z przełomu 1942 i 1943 roku – wspomina pani Leokadia.

Irena przeczekala noc w jakiejś stodole, do Warszawy wracała pieszo trzy dni. – Odchodziłam od zmysłów, bo byłam przegotowana, że Irena wróci tego samego dnia. Przyszła w strasznym stanie. Mówiła z wielkim żalem, że wszystko straciła. A ja na to: „Ty się martwisz, że zabrali ci jedzenie?! Żyjesz i to jest najważniejsze!”.

Irene trzeba było wyrobić nowe dokumenty. – Wykorzystałam to, że w mieszkaniu wciąż zameldowana była moja siostra, która wyjechała w Kieleckie do rodziców. W urzędzie naopowiadałam Niemcom, że siostra zgubiła dokumenty i że jest bardzo chora. Jeździłam w tej sprawie jeszcze kilka razy. Kiedy jednak dowód był



gotowy, przyszło pismo, że trzeba go odebrać osobiście – wspomina pani Leokadia.

Irena wpadła w panikę. Mówiła, że za żadne skarby nie pójdzie do urzędu, bo ją zabiją.

– „Tyle miałam problemów, a ty mi teraz stajesz okoniem” – strofowałam ją i tak zmusiłam, żeby poszła ze mną do urzędu – relacjonuje Leokadia Choińska. Przebrała Irenę w stare ubrania, obandażowała jej nogi. – Wyglądała jak schorowana, stara babina. Kiedy dotarliśmy na Mokotowską do magistratu, Irena znów podniosła bunt. Krzyczała, że nie wejdzie do środka, bo to pewna śmierć. Powiedziałam więc, że wejdziemy razem – wspomina.

Kiedy urzędnik podsunął pismo, Irena była biała jak ściana, chwiała się na nogach.

– Poganiałam ją z uśmiechem, żeby to podpisała. Zeszłyśmy na dół, dziwiła się, że zachowałam taki spokój: stałam jak posąg, żadnego zdenerwowania i jeszcze miałam siły, by się uśmiechać. Powiedziała, że gdyby nie moje zachowanie, nigdy by tego nie podpisała.

Do Mielna za bratem

Tuż przed powstaniem warszawskim Leokadia zlikwidowała mieszkanie w stolicy. Dwa żydowskie małżeństwa trafiły do innej kryjówki. A swoją córkę i Irenę wywiozła do rodziców w Kielec-

kie. – I wtedy dopiero dowiedzieli się, czym zajmowałam się w stolicy. Przy okazji odkryli nową, przybraną córkę. Bo przecież Irena posługiwała się dokumentami mojej siostry – opowiada.

Rodzice byli oburzeni, że Leokadia tak naraża życie swoje i dziecka. – A ja przecież nie chciałam nikogo w to wtajemniczać – tłumaczy dziś starsza pani.

Sama ruszyła na pomoc bratu, który utknął gdzieś pod Samborem, próbując uciec przed hitlerowcami. Załatwiła mu metrykę, dzięki czemu można było wyrobić nowe dokumenty.

Drugi z ocalałych braci, Marian, był więziony w obozie w Stutthofie. Tuż przed końcem wojny Niemcy popędzili wszystkich więźniów na Zachód. Brat przeżył, zatrzymał się pod Koszalinem. Założył urząd pocztowy w Mielnie. Leokadia Choińska odwiedziła go tam tuż po wojnie, w 1946 roku przyjechała jeszcze raz. Została już na zawsze. Tu poznała drugiego męża i urodziła czwórkę dzieci.

Wszyscy ukrywani w warszawskim mieszkaniu Żydzi przeżyli. Jedno z małżeństw wyjechało do Australii. Rodzina Aleksandrowiczów osiedliła się w Nowym Jorku. Alik został profesorem na tamtejszym uniwersytecie. Z siostrą Lusią odwiedził Leokadię w Mielnie. Przez wiele lat utrzymywała kontakt z tą rodziną.

Irena tuż po wojnie trafiła do Łodzi. Miała przyjechać do pani Leokadii, do Mielna. Napisała jednak, że poznała pewną osobę i wyjeżdża do Ameryki. Od tego czasu już się nie zobaczyły. – Ale byłyśmy w ciągłym kontakcie: pisała, dzwoniła, zapraszała do siebie. Nie pojechałam, ale dzięki

niej przez kilka miesięcy w USA był mój syn Zbyszek.

Irena nie była szczęśliwa, miała niedobrego męża. – Jej listy były mokre od łez. Umarła trzy lata temu. Przeżyłam to jak śmierć najbliższej osoby – wzdycha pani Leokadia.

Nie można stać obojętnie

– Mama nigdy specjalnie nie opowiadała o swoim bohaterstwie – mówi Zbigniew Choiński, syn pani Leokadii i od wielu lat wójt gminy Mielno. – O pani Irenie oczywiście wiedzieliśmy.

Na początku lat 90. XX wieku znajomi zaczęli zachęcać Choińską, by starała się o medal, którym państwo Izrael wyróżnia ludzi ratujących Żydów podczas wojny. Uległa.

Prawie dwa lata trwało zbieranie zeznań świadków. „Pani Choińska-Walczak jest prawdziwą bohaterką i postąpiła z nami humanitarnie, narażając swoje życie wobec bestialstwa Niemców” – napisała w specjalnym zaświadczeniu Irena, która po mężu nosiła nazwisko Lavell (jej zeznania potwierdził nowojorski notariusz).

W 1993 roku Instytut Yad Vashem w Jerozolimie uhonorował Leokadię Choińską medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Odebrała go najstarsza córka, która przetrwała z panią Leokadią najtrudniejsze chwile w okupowanej Warszawie. – Profesor Szewach Weiss, wręczając medal, powiedział, że jestem pierwszą wyróżnioną w ten sposób osobą w województwie koszalińskim – opowiada starszuszka. I zapewnia, że w jej postawie nie było nic nadzwyczajnego. – Jeśli człowiek ma choć minimalne warunki do tego, by pomóc innym, nie może być obojętny. Wierzyłam, że jak ratuję innych ludzi, to i Pan Bóg uratuje mnie i moje dziecko. Ot, i wszystko. ■

W regionie koszalińskim

medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, oprócz Leokadii Choińskiej-Walczak otrzymali: Józefa Czeka (Białogard), Leokadia Gawet (Cewlino), Ryszard Degórski (Koszalin), Jan Kozak (Turowo), Ludwika Piasecka (Kalisz Pomorski), Jadwiga Świerczyńska (Szczecinek), Maria i Andrzej Tkaczowie (Kołobrzeg), Wiesława Wąsowicz (Koszalin), Olga Zawadzka (Szczecinek).

Medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata

to najwyższe izraelskie odznaczenie nadawane nie-Żydom. Jest przyznawane przez Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu Yad Vashem. Kapituła instytutu przyznaje wyróżnienie osobom i rodzinom, które z narażeniem własnego życia ratowały Żydów w czasie II wojny światowej. Na medalu widnieje cytat z Talmudu „Kto ratuje jedno życie – ratuje cały świat”. Do tej pory tytułem „Sprawiedliwy” uhonorowano ok. 23 300 osób, najwięcej na tej liście jest osób z Polski (prawie 6200) i Holandii (5000).



BEATA STANKIEWICZ

Jarmark Stefana Batorego w Wałczu

Smak królewskiego przywileju

Od pięciu wieków kiermasze kuszą klientów różnymi towarami

Zapach smażonych placków ziemniaczanych przywołuje historię odległą. Na patelni czasu smaży się edykt z czasów minionych. Miecze i zbroje dodają pikanterii. Tak wygląda wałecki jarmark.

Pozwalamy wszystkim i każdemu z osobna, jakiego by stanu nie był i pochodzenia, czy to polski mieszczanin, czy też cudzoziemiec, odwiedzić targ i wystawić do sprzedaży swe towary, kupować i sprzedawać, zamieniać i różnego rodzaju transakcje zawierać – tak brzmiały słowa króla Stefana Batorego, który w 1577 roku na prośbę wałeckich mieszczan nadał miastu prawa do organizowania dodatkowych jarmarków. Jeden z terminów przypadał na niedzielę przed dniem św. Małgorzaty, czyli 13 lipca.

Marka: made in DRK

Wałcz przypominał sobie o tym przywileju dopiero 14 lat

temu. Pierwszy jarmark otrzymał nazwę Stefana Batorego. W XVI wieku było to wydarzenie jedynie handlowe, teraz jest to impreza rekreacyjna, kulturalna, wystawiennicza i handlowa. Dzięki temu jarmark jest sporą atrakcją dla mieszkańców Wałcza i okolic, a także turystów.

Między kramami można spotkać przybyszów z całej Polski oraz z Niemiec.

Po jarmarku przechadza się właśnie grupa z Werne, oficjalna delegacja miasta partnerskiego. Lothar Christ, obecny burmistrz Werne, oraz Rainer Rappe, były burmistrz, bawią się tu całkiem dobrze. – Przyjechaliliśmy przypilnować, czy nasza ekipa Deutsche Rote Kreuz dobrze handluje ziemniaczanymi plackami! – śmieją się obaj. W pobliżu, pod dużym, białym namiotem ekipa z DRK Werne rzeczywiście smaży pachnące z daleka placki. Dochód otrzymała wałecka PCK, z którym dobra współpraca trwa już od wielu lat. Stoiska gastronomiczne zajmują sporo miejsca wśród jarmarcznych kramów. Oprócz smażonego mięsiva i zimnego piwa, przechodniów kuszą pądy chleba ze smalcem i inne, bardziej wymyślne specjały.

Miecz czy korale?

Dzieci szaleją wśród barwnych zabawek. Piszczą trąbki, strzelają kapiszonowe pistolety, ale niestety baloniki uciekają w chmury. Na pocieszenie, tuż obok sprzedawca wyciąga kolorową słodką watę. Nadmuchiwany zamek i wielkie kule w basenie zapraszają do wesołych szaleństw.

Nieopodal swe obozowisko rozłożyli rycerze. Ich broń przyciąga uwagę nie tylko męskiej części widzów. – Ooo! Jaki miec! Taki kcem!!! – robi wielkie oczy mała Kasia. Tata, tłumiąc śmiech, zamiast miecza proponuje jej kolorowe koraliki. Kasia nie jest przekonana. Chyba miecz jest dla tej małej damy w eleganckim różowym kapelusiku ciekawszy niż biżuteria, którą kuszą liczne stoiska.

Kolekcjonerzy prezentują swoje zbiory. Pamiątki wałeckie, stare monety, dziwne przedmioty, których przeznaczenia nie każdy dziś potrafi odgadnąć. Można kupić, można wymienić na gadżety z własnej kolekcji.

Brama czasu?

Nagle uwagę gości jarmarku zwraca barwny korowód. Radni i kupcy w szlacheckich strojach, bractwa rycerskie, przemierzają swoje miasto, wkraczają na teren jarmarku. Postacie w barwnych

historycznych strojach zmieszały się ze zwykłymi przechodniami, nadając jarmarkowi specyficzną atmosferę. Wygląda to tak, jakby spotkali się tu przybysze z różnych wieków. Tylko gdzie jest brama czasu, przez którą się przedostali?

Na tle zdjęć prezentujących działania i sukcesy Stowarzyszenia Przedsiębiorców i Kupców Ziemi Wałeckiej żebrak przykryty zgrzebnym workiem prosi o datek od bogato ubranego człowieka. Ten otula skuloną postać swym wspaniałym płaszczem. Po chwili wyciąga pieniądze. – Skoro jestem przewodniczącym stowarzyszenia, muszę wspomagać potrzebujących – śmieje się Stanisław Bęben, wiceprzewodniczący Rady Miejskiej. Ale prośba o pomoc to tylko żart. Tu na jarmarku wszyscy wyglądają na zadowolonych. Sprzyja temu piękna pogoda i gwar rozbawionych ludzi oraz moc muzyki. Do woli występują: a to cygański teatr, a to kapela góralska, zespół Sprint Band, BONY M, Drużba z Ukrainy. Koneserzy drepczą w rytm muzyki szantowej i irlandzkiej. Przednio, przednio. Mieszkańcy Wałcza dziękują za pozwolenie z 1577 roku i zapraszają na kolejny jarmark. Za rok.

Beata Stankiewicz

Ikona wędruje po Darłowie

Doba ze Świętą Rodziną

Od kilku miesięcy mieszkańcy darłowskiej parafii pw. św. Gertrudy **przyjmują w swoich mieszkaniach ikonę Świętej Rodziny.**

Z początku było tylko kilka odważnych rodzin. Dzisiaj nawet spóźnialscy chcą znaleźć się na trasie peregrynacji.

Z rodziną za rodzinę

– Najpierw każdy się boi przyjąć obraz. Ale jak już to robi, stwierdza, że to wielkie przeżycie, które zapamiętuje się na długo. Rodzina jednoczy się podczas wspólnej modlitwy, w domu jest lepiej, spokojniej. Inaczej układają się wszystkie sprawy – mówi z przekonaniem Czesława Budna.

Wędrowka obrazu rozpoczęła się w styczniu, a wizerunek Rodziny z Nazaretu gości w każdym z mieszkań przez 24 godziny. Co wieczór trafia do następnej rodziny, często mobilizując do wspólnej modlitwy nie tylko domowników, ale i dalsze gałęzie rodu.

– Kiedy usłyszałam o peregrynacji, pierwsza myśl była: „tak”. Potem przyszła chwila zastanowienia, czy nam się uda dobrze to przeżyć, bo przecież decydując się na przyjęcie do siebie takiego gościa, człowiek chciałby, żeby wszystko wypadło jak najlepiej – opowiada Grażyna Chmielarz.

Pani Grażynka modli się w konkretnej intencji. Prosi o potrzebne łaski dla męża i dla rodziców. Razem z nią w modlitwę włączają się kolejni członkowie rodziny: córka z mężem i malutką Wiktoria oraz teściowa córki. – Wieczorem przyjadą jeszcze rodzice i siostra, więc będzie nas sporo – nie kryje zadowolenia.

Ci, którzy gościli już u siebie Świętą Rodzinę, zachęcają sąsia-

dów, by zaprosili do siebie ikonę. A w darłowskiej parafii sąsiedzi dobrze się znają. Od kilku lat bowiem parafia pw. św. Gertrudy wprowadza idee Ruchu dla Lepszego Świata. Założony przez włoskiego jezuitę, ojca Riccardo Lombardiego, ruch ma łączyć we wspólnej pracy ludzi różnych powołań. Młodzi i starzy, świeccy i duchowni, ludzie o różnym wykształceniu tworzą wspólnotę, zjednoczoną przy budowaniu królestwa Bożego. Jednym z owoców pracy w Ruchu dla Lepszego Świata są grupy sąsiedzkie, które między innymi spotykają się na wspólnej modlitwie.

Sąsiedzkie świadectwo

– Często modlimy się razem, więc nie było żadnych wątpliwości, że chcemy mieć ikonę u siebie. Dla mnie i dla mojej rodziny był to bardzo ważny moment. Kiedy przyniosłam obraz do domu, zapaliliśmy świece, odmówiliśmy razem Różaniec i Apel Jasnogórski. Kolejnego dnia o godzinie 15

dołączyli do nas syn z synową i wnuczką, moja mama i siostra. Razem zmówiliśmy Koronkę do Bożego Miłosierdzia. W modlitewniku, który wędruje z ikoną, są propozycje modlitw dla całej rodziny i jej poszczególnych członków za siebie nawzajem, więc modliliśmy się za każdego – opowiada ze wzruszeniem pani Czesława.

Ikona w darłowskiej parafii zaprosiła do siebie już prawie 200 rodzin. – Nie chcemy prowadzić statystyki czy dokładnych wykazów. Chodzi raczej o wewnętrzną potrzebę samych parafian, a w wielu miejscach ta modlitwa w sprawach rodziny jest bardzo potrzebna – mówi ks. Eugeniusz Gnibba, proboszcz darłowskiej wspólnoty. – Bardzo ważną sprawą jest świadectwo rodzin, które już przyjęły ikonę. Na początku zgłosiło się tylko kilka. Gdy rozpoczęła się peregrynacja, w każdym bloku było już kilkudziesięciu chętnych.

Pani Czesława jest postać, odpowiadała za sprawną wędrowkę ikony od mieszkania do mieszkania w klatce jej bloku. – Opowiadałam wszystkim sąsiadom, zachęcałam i rzeczywiście wiele rodzin przyjęło ikonę do siebie. Nieraz może sama się nie spodziewałam, że się zdecydują – relacjonuje. – Zanioślam też ikonę do jednej starszej pani, która jest samotna i nie może już sama chodzić nawet do kościoła. Razem się modliłyśmy.

Teraz o modlitewne czuwania rodzinne dopytują się także początkowo sceptycznie nastawieni parafianie. – Ci, którzy z różnych przyczyn przegapili okazję bądź nie chcieli przyjąć ikony, kiedy peregrynowała w ich bloku, teraz pytają, czy będą jeszcze mogli ją gościć – dodaje ks. Marcin Lipnicki. Dlatego duszpasterze nie zamierzają wyznaczać terminu zakończenia wędrowki ikony. Mają nadzieję, że Święta Rodzina dotrze do wszystkich mieszkań.

Karolina Pawłowska



Wokół ikony gromadzą się całe rodziny

Rusza Akademia Rodzin

Idź z mężem na wykłady

Dotychczas działała tylko w Józefowie koło Warszawy. **Od września będzie działać w diecezji koszalińsko-kołobrzesckiej** pod patronatem biskupa diecezjalnego i „Gościa Niedzielnego”.

Koordinatorkami Akademii Rodziny w Koszalinie są m.in. Katarzyna i Janusz Jazgarowie, na co dzień związani ze wspólnotą szensztacką.

– Zajęcia będą co miesiąc w Centrum Edukacyjno-Formacyjnym w Koszalinie. Myślę, że 10–12 to optymalna liczba rodzin, które będą w nich uczestniczyć. Zależy nam bowiem na tym, by faktycznie pracować z tymi ludźmi, a nie tworzyć statystyki. Wybierzemy rodziny, które najbardziej tych spotkań potrzebują – mówi pani Katarzyna.

Psychologowie, pedagodzy, specjaliści z duszpasterstwa rodzin – to tylko niektórzy wykładowcy, mający prowadzić zajęcia w Akademii Rodzin. Spotkania przeznaczane są dla młodych małżeństw (do 10 lat stażu małżeńskiego), które chcą pogłębić swoje więzi, nauczyć się obrony swojego związku przed różnymi zagrożeniami oraz udoskonalić kontakty ze współmałżonkiem i dziećmi.

Plan spotkań opracowany jest na cały rok. Organizatorzy zapewniają jednak, że gdy w trakcie działania Akademii pojawią się jakies kwestie do omówienia, na pewno znajdzie się na nie czas.

– Kiedy spotkaliśmy się z twórcami i pomysłodawcami tego projektu, największe wrażenie zrobił na nas ich profesjonalizm. Podczas spotkań nie ma miejsca na improwizację, każde jest dokładnie zaplanowane. A przede wszystkim prowadzili je ludzie, którzy wiedzą,



Koordinatorkami Akademii w Koszalinie są Katarzyna i Janusz Jazgarowie

co mówią, bo naukom związanym z życiem rodzinnym poświęcili pół życia. My będziemy starali się zorganizować wszystko na podobnym poziomie – mówi Janusz Jazgar.

Julia Markowska

Diecezjalni koordynatorzy projektu:

- Jolanta i Jurek Michalscy tel. kom. 502 914 720
- Katarzyna i Janusz Jazgarowie tel. kom. 606 907 116
- <http://www.akademia-rodziny.pl>

Plan spotkań

- 4 września – Inauguracja Akademii w diecezji koszalińsko-kołobrzesckiej
- 11 września – Poznawanie siebie
- 9 października – Wpływ dzieciństwa na życie w małżeństwie
- 20 listopada – Wartości i normy w życiu rodziny
- 11 grudnia – Etyka życia małżeńskiego i rodzinnego
- 22 stycznia – Miłość
- 19 lutego – Relacje interpersonalne
- 12 marca – Wychowanie
- 9 kwietnia – Organizacja czasu w rodzinie
- 21 maja – Sytuacje trudne
- 18–19 czerwca – Małżeństwo i rodzina, a inne kręgi

Być dla drugiego



Rozmowa z ojcem **Mirosławem Żabnickim**, współtwórcą Akademii Rodziny.

Spotkania to nie tylko wykłady, ale przede wszystkim zdobywanie konkretnych umiejętności.

– Jeżeli poruszamy jakikolwiek temat, staramy się, by jego efektem było zdobycie konkretnej umiejętności. Bo sama wiedza nie wystarczy. Jeżeli mówimy o sztuce rozmowy z dzieckiem, trenujemy konkretne sformułowania i zwroty. Czasami okazuje się, że zmiana formy i sposobu wyrażania własnych uczuć i oczekiwań wobec członków rodziny działa cuda.

Pracujecie nie tylko z małżonkami

– Na spotkania przyjeżdżają całe rodziny. Gdy rodzice się uczą, dzieci pozostają pod opieką wolontariuszy i poznają mniej więcej te same zagadnienia co oni. Oczywiście przekazywane im wiadomości są przystosowane w treści i formie do ich wieku. Dzięki temu po powrocie do domu mogą przedyskutować to, czego się nauczyli, powtórzyć zdobyte umiejętności.

JULIA MARKOWSKA: Jaka jest polska rodzina?

O. MIROSLAW ŻABNICKI: – Trudno jednoznacznie ocenić stan polskich rodzin. Inaczej wygląda to na terenach wiejskich, inaczej w miastach. Wciąż lansuje się życie bez zobowiązań. Nawet ci, którzy ślubują, mają gdzieś w tyle głowy, że jak coś nie wyjdzie, to mogą zacząć od nowa z kimś innym. Własne potrzeby stawiają nad potrzebami drugiego człowieka. Jedynym antidotum na takie postępowanie i myślenie jest wiara, która stanowi, że człowiek nie żyje sam dla siebie. A rodzina i małżeństwo przez całe życie wymagają bardzo dużo pracy, zaangażowania i nauki.

Dla kogo jest przeznaczona Akademia Rodziny?

– Zakładając ją, wyszliśmy z założenia, że w Kościele jest wiele propozycji dla rodzin mających problem uzależnienia, zmagających się z niepełnosprawnością czy też żyjących w związkach niesakramentalnych. Dlatego nasza propozycja skierowana jest do ludzi, którzy nie mają tak olbrzymich problemów. Dla tych, którzy chcieliby z pomocą specjalistów doskonalić się w życiu rodzicielskim i małżeńskim oraz pracować nad sobą.

Kolejny rok Akademii skończyliście spotkaniem w Koszalinie. Jakie wrażenia mają uczestnicy?

– Małżeństwa, którymi opiekowaliśmy się dotychczas, są bardzo zadowolone. Ci, z którymi spotykaliśmy się w zeszlých edycjach Akademii, po roku zajęć nadal do nas przychodzą. Codziennosc przynosi wiele pytań i zadań, i każdy rodzic czy małżonek musi sobie z nimi poradzić. O ile łatwiejsze staje się to wtedy, gdy mamy obok siebie osoby z podobnymi doświadczeniami, do których mamy zaufanie i szacunek. ■